

Anna Kozak

emerytowany redaktor encyklopedii

Wydawnictwa PWN

Katarzyna Kozak

Stowarzyszenie EBIB

Rozmowa o bibliotekach, bibliotekarzach i książkach w czasach analogowych. Wspomnienia czytelniczki z lat 1948-1998

Słowa kluczowe: historia bibliotek, Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego, Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka im. KEN w Warszawie, V Czytelnia Naukowa w Warszawie, biblioteki szkolne, wizerunek bibliotekarza, obsługa użytkowników, jakość usług bibliotecznych, książki dla dzieci, literatura dla dzieci i młodzieży

Pandemia to przymusowa pauza, odcięcie od codziennego pośpiechu. Zamknęła nas w domach i czas zaczął zwalniać. Czytelnicy „Biuletynu EBIB” uznali, że to dobra okazja do odkurzenia pamięci, do przywołania wspomnień o bibliotekach. Postanowiłam zapytać o nie... mamę.

Katarzyna Kozak: Czy pamiętasz bibliotekarki z czasów PRL-u? Wśród „młodych” bibliotekarzy funkcjonuje taki stereotyp [przepraszam, krzywię się, bo strasznie go nie lubię]: pani w fartuchu...

Anna Kozak: (Uśmiech) Mogę coś na ten temat powiedzieć...

K.K.: Ale to nie wszystko... z koczkiem, nieatrakcyjna, absolutnie démodé i koniecznie w okularach i sznurowanych butach ortopedycznych z wyciętymi piętami i noskami...

A.K.: Pielęgniarki też miały takie buty. To były dobre buty... zwłaszcza, gdy ktoś musiał dużo chodzić lub dźwigać. Te buty oznaczały troskę o kręgosłup.

K.K.: Brnę dalej. Rzeczona bibliotekarka (dlaczego zawsze ona nie on?!) była – co tu dużo mówić – odpychająca. Zupełnie inna niż my: nowocześni, atrakcyjni, bardziej przystępni i dzięki temu pracujący na prestiż naszego zawodu, który ponoć wcześniej prestiżu nie miał za grosz, a biblioteki i bibliotekarki były jakieś takie przasne, zaściankowe, „na baczność” i sama nie wiem, co jeszcze...
Dużo tego...

A.K.: To powszechne przekonanie wynikające właśnie z wyglądu... Pamiętam fartuchy, nie były ładne, a jeśli chodzi o wygląd, to wszyscy prezentowaliśmy się niezbyt awantażownie, tylko pamięć ludzi zawodzi... Jeśli pozwolisz, to wtrączę coś na temat bibliotek, bo mam kilka różnych wspomnień z różnych czasów...

K.K.: Pozwolę (śmiech), najpierw jednak muszę zadać ci pytanie – wiesz, taka konwencja... A za nim zadam, chciałam wyjaśnić, dlaczego akurat z tobą chcę rozmawiać o bibliotekach, dlaczego ciebie wybrałam...

A.K.: Bo jestem stara.

K.K.: Wiedziałam, że źle zaczęłam tę rozmowę... Nie, nie dlatego... No dobrze, trochę tak – z racji wieku masz wiele wspomnień, ale pytam cię głównie dlatego, że jesteś czytelnikiem z długim stażem, ponadto byłeś pracownikiem książki polskiej, pracowałaś w dwóch wydawnictwach, przeszłaś przez wszystkie dostępne szczeble edukacji i wiem, że na każdym etapie swojego życia – czy edukacyjnym, czy zawodowym – korzystałaś z bibliotek, dodam z wielu różnych typów bibliotek...

A.K.: To prawda.

K.K.: Mamy więc masę instytucji, które możesz sobie w tej chwili swobodnie „obsmarować”, a ja to skrzętnie zapiszę. Zaczynamy? Twoje pierwsze wspomnienie związane z biblioteką...

A.K.: Szkoła podstawowa. Zaczynałam szkołę w roku 1950. Gdzieś w drugiej klasie nauczycielka, moja ukochana pani Haneczka, młoda i bardzo sympatyczna, zorientowała się, że ja, osoba dobrze czytająca i to od dawna, w ogóle nie korzystam z biblioteki szkolnej. A mnie nawet nie przyszło do głowy, że jest taka komórka w szkole, poza tym miałam książki w domu. Wzięła mnie więc za rękę i zaprowadziła do biblioteki. Poczułam się niestęchaniem onieśmielona, chociaż pani w bibliotece była serdeczna, miła, opiekuńcza, cały czas do mnie zagadywała, proponowała różne książki, króciutko opowiadając, o czym są. Nie odzywałam się, więc koniec końców wcisnęła mi do ręki Grabowskiego (to był *Puc, Bursztyn i goście*) zapewniając, że ta książeczka dostarczy mi wiele radości i skoro dobrze czytam, to sobie poradzę. Wzięłam książkę, wróciłam z nią do domu, bo się wstydziłam przyznać w bibliotece, że taką książkę już mam. W domu z kolei wstydziłam się przyznać, że nie umiałam się zachować i postąpiłam jak gapa, biorąc książkę, którą już czytałam. Schowałam ją głęboko w szafce, żeby się nie tłumaczyć przed rodzicami, a sprawa wyszła na jaw dopiero pod koniec roku szkolnego, gdy zażądano zwrotu książki.

K.K.: Wygląda na to, że twoje pierwsze wspomnienia związane z biblioteką to są wspomnienia dłużnika... Byłaś ścigana...

A.K.: (Śmiech) No tak, byłam ścigana. A ponieważ milczałam jak grób (w ogóle zapomniałam o tej książce), sprawa trafiła do rodziców, bo biblioteka chciała jednak odzyskać książkę, która w tych czasach była dobrem cennym podwójnie, bo po wojnie było ich mało. Pamiętam książeczki, które miałam w domu. Papier był jakiś taki o bliżej nieokreślonym kolorze, tekst drukowany niebieską farbą, bo pewnie akurat taka była lub może taka była bardziej wyraźna. Wyglądały jakby były bez okładki, bo okładka i strona tytułowa były z tego samego papieru, co karty książki. Nawet pamiętam tytuł jednej z nich – *Dzieci miasta, dzieci wsi* – aczkolwiek nie pamiętam, co było w środku. Książki po wojnie były na wagę złota! Jeszcze wtedy nie patrzyłam na nie tak jak dziś, nie oglądałam strony redakcyjnej, więc oczywiście nie pamiętam, z którego była roku, ale generalnie w bibliotekach przeważały książki przedwojenne... Pamiętam, że mniej więcej w tym samym czasie, gdzieś między 1950 a 1953, mój starszy brat pomagał w takiej akcji: zarządzono przegląd księgozbiorów bibliotek szkolnych (być może nie tylko szkolnych), aby usunąć z nich książki z nastawieniem, hmm, wrogim wobec ustroju.

K.K.: Przepraszam, czy wuj miał świadomość, czego będzie dotyczyła ta pomoc?

A.K.: Nie, z pewnością nie. Dzieciom nie mówiono dokładnie, o co chodzi. Potrzebna była pomoc przy dzwiganiu, bo książki trzeba było przenosić. On miał w tym czasie nie więcej niż 12 lat... zresztą selekcja zakończyła się w ten sposób, że przyniósł do domu co najmniej kilkanaście tytułów „wrogich książek”, m.in. *Szkolę orląt* Meissnera, Fiedlera, który jakoś okresowo podpadł albo niektóre jego tytuły... był tam chyba *Dywizjon 303*... nie wiem, kiedy to się pierwszy raz ukazało drukiem w Polsce... Do 1948 r. jeszcze wszystko działało po staremu... szliśmy trybem przedwojennym... Potem władza już okrzepła, poczuła się pewnie, otrzymała „trzy razy tak”, odbył się Kongres Nauki Polskiej, na którym nauka się (śmiech) samoskrytykowała... Lata 50. to już mroki stalinizmu. I to, że chłopak 12-letni przekartkował i wybrał kilkanaście (zakazanych!) książek – pamiętaj – na oczach bibliotekarek, i przyniósł do domu, wiele mówi o tym, jakie były te panie... One w żadnym wypadku nie mogły zatrzymać tych książek w bibliotece.

K.K.: Ale pozwoliły uczniom zabrać je do domu.

A.K.: Właśnie...

K.K.: No to były odważne.

A.K.: A poza tym ich działanie było ze wszech miar pożyteczne... mówimy przecież o Grochowie... To przed wojną był taki miejsko-podmiejski obszar z domkami góra czteropiętrowymi, przewaga ludzi słabo wykształconych: rzemieślnicy, drobni urzędnicy, sprzedawcy. Te książki, można powiedzieć, trafiły pod strzechy...

K.K.: Jednym słowem bibliotekarki-pozytywistki!

A.K.: Zdecydowanie tak. Taki był trend wśród ludzi wykształconych przed wojną, taka misja, a moje nauczycielki i bibliotekarki były przecież przedwojenne... Pamiętam, że mój ojciec, który absolutnie nie był związany z bibliotekarstwem, kiedy wyjeżdżaliśmy co roku na wieś, na letnisko w okolicy Małkini, zawsze zabierał z sobą książki, które na miejscu zostawiał ludziom do czytania.

K.K.: A tam w okolicy nie było żadnych bibliotek, nawet takich małych, jednoosobowych albo chociaż walizki z książkami u sołtysa?

A.K.: Nie, to była mała wieś... ale na strychu u naszych gospodarzy odkryłam mnóstwo książek. I wiadać było, że czytanych.

K.K.: A jakie tam były książki?

A.K.: Wszystkie. Na każdy temat.

K.K.: No proszę, a ja myślałam, że sanacyjna przedwojenna Polska trzymała prosty lud we „wsteczności, ciemności i ucisku”?

A.K.: Ojej, po prostu pewne wydawnictwa były dostosowane do poziomu odbiorców! Wydawano na przykład bardzo popularne i skrótowe opracowania dotyczące historii Polski, nieprzeładowane nadmiarem informacji i tanie. Ukazywały się nowele, opowiadania, bardzo popularne były mocno patriotyczne czytanki... Przedwojenna Polska się w tym specjalizowała (śmiech), chodziło o dawanie silnych podstaw, o odbudowę tożsamości. To było ważne po 123 latach niewoli...

K.K.: **No dobrze, a teraz proza życia. Dostałaś po głowie od bibliotekarki szkolnej za przetrzymanie książki?**

A.K.: Nie. Nigdy żadnych uwag nie słyszałam. Natomiast potem chadzałam już sama do biblioteki i z zapalem wyszukiwałam sobie książki w skrzynkach z kartami...

K.K.: **Chwila, chwila... Jak to wyszukiwałaś? Sama?! Dziewięciolatka?! Mieliście wcześniej jakieś szkolenie z bibliotekarzem, lekcje biblioteczne?**

A.K.: W szkole podstawowej nie pamiętam jakichkolwiek lekcji bibliotecznych, ale ktoś mi zapewne pokazał (może bibliotekarka), jak korzystać z katalogów, skoro potem sobie z tym znakomicie radziłam. I wiesz, lubiłam przesiadywać w tej sali z katalogami...

K.K.: **A to była sala lekcyjna przerobiona na bibliotekę czy biblioteka miała własne, dostosowane do jej potrzeb pomieszczenie? Może to była biblioteka publiczno-szkolna? Bibliotek było mało.**

A.K.: Nie wydaje mi się, by korzystał z niej ktoś spoza szkoły. To był oddzielny budynek, stał przy ul. Waszyngtona. W budynku, w którym się uczyliśmy, na rogu Siennickiej i Grochowskiej, były trzy szkoły, każda na innym piętrze i biblioteki w nim nie było. Biblioteka przy Waszyngtona pełniła więc funkcję biblioteki międzyszkolnej, dla wszystkich uczniów. Wracając do sali z katalogiem... zapamiętałam tam szczególnie jeden portret, to była reprodukcja: młodzieniec z krótko ostrzyżonymi włosami, ubrany w skromny ciemny strój z wykładanym białym kołnierzem, u dołu obrazu był tekst napisany stylizowaną łącińską czcionką: *A dusza się moja zamyśla głęboko...* Bardzo mi się podobał ten cytat. I nie wiem do dziś, czy mężczyzną na obrazie był Słowacki, bo bardziej pasowałby mi na św. Stanisława Kostkę... Znam podobizny Słowackiego, ale tej nigdy nie widziałam. Wpatrywałam się w ten portret z lubością. Był dla mnie takim... nie wiem jak to ująć... elementem stabilizującym, dającym poczucie łączności z tym, co było dawniej, pewną kontynuacją. Wokoło gruzy, spalona Warszawa i ten portret... Był jak pomost przerzucony pomiędzy tamtym czasem i tym moim. Wyobrażałam sobie, że przed wojną też wisiał w bibliotece, może nawet w tej...

K.K.: **Hmm... w sumie praski brzeg nie był zniszczony tak jak lewobrzeżna Warszawa... na Grochowie budynek biblioteczny mógł ocaleć...**

A.K.: Owszem, mógł. Były tam co prawda ślady po bombach, ale mogły pochodzić jeszcze z 1939. Budynek szkolny na pewno był przedwojenny, w 1948 pełnił jeszcze funkcję szpitala, a dzieci uczyły się w barakach na Krypskiej. Tam właśnie pojechałyśmy z mamą zapisać mojego brata do szkoły. Kilka miesięcy później, 1 września 1948, kiedy rozpoczął się rok szkolny, szpitala już tam nie było, otwarto szkołę wyposażoną w ławki i wszystko, co potrzebne do nauki, ale bez biblioteki. Niemniej budynek biblioteczny był bardzo blisko kamienicy, w której mieszkaliśmy. Miałam bliżej do biblioteki niż do szkoły, w każdym razie było to w zasięgu 9-letniej dziewczynki.

K.K.: Mówiłaś, że książki były głównie przedwojenne. Czy możliwe, że biblioteka zachowała swój własny przedwojenny księgozbiór? Bo nawet jeśli biblioteka-budynek przetrwał, to Niemcy jednak przeszli przez polskie księgozbiory. Straty bibliotek warszawskich wciąż przyprawiają o zawrót głowy...

A.K.: Oczywiście, mieliśmy przedwojenne książki, może ktoś je ukrył w czasie wojny, może bibliotekarze... Z drugiej strony, weź pod uwagę, że szkoły podstawowe nie były aż tak narażone, Niemcy dopuszczali możliwość ukończenia szkoły podstawowej do iluś tam klas.

K.K.: Wróćmy z wojny do biblioteki... Katalogi nie były dla ciebie problemem, ale czy sama wybierałaś interesujące cię lektury, czy korzystałaś z podpowiedzi bibliotekarki?

A.K.: Po tej wpadce z *Pucem*, *Bursztynem* (śmiech) zdecydowanie chciałam się zrehabilitować, więc chodziłam do biblioteki często, ale – znasz mnie (śmiech) – BARDZO LUBIŁAM SAMA SOBIE WYSZUKIWAĆ LEKTURY! Od czasu do czasu się pytałam, ale najczęściej sama buszowałam po tych szufladkach w nadziei, że upoluję coś wyjątkowego.



Il. 1. *Kalendarz sikorki* Witalija Biankiego z dedykacją: „Nagroda dla przodownika pracy [...], Warszawa dn. 25VI1952 r.”
Mam niecałe 9 lat i już jestem stachanowcem!
Źródło: zbiory własne.

K.K.: Czy Pani bibliotekarka faktycznie była taka... fartuszkowo-koczkowa?

A.K.: Bez okularów, bez koczek, miała ładnie ułożone włosy i była w odbiorze taka... taka... ciepła. Zawsze miła, delikatnie uśmiechnięta, absolutnie nieodpychająca. Mówiła ładną polszczyzną. Myślę, że może dlatego za pierwszym razem czułam się taka zawstydzona, skrępowana swoją nieumiejętnością znalezienia się w sytuacji, a ona starała mi się to ułatwić na wszelkie możliwe sposoby.

K.K.: Dobrze, zamknijmy temat biblioteki szkolnej. Biblioteka publiczna... sama do niej trafiłaś, czy ktoś cię zaprowadził?

A.K.: Do biblioteki publicznej trafiłam już w szkole średniej...

K.K.: Jak to „już”?!

A.K.: Przecież po siódmej klasie miałam skończone dopiero 14 lat [1957 r. – przyp. red.]. Potem były klasy 8-11, czyli szkoła średnia... No więc jedną bibliotekę publiczną, taką niedużą, miałam na Grochowskiej, jakieś trzy i pół minuty od domu. I tę bibliotekę znałam. Wiedziałam, że jest i że jeśli nie znajdę jakiejś lektury ani w szkole, ani w domu, to tam mogę poszukać, ale mało tam pożyczałam. Częściej zaczęłam zaglądać, gdy byłam już w szkole średniej i na studiach.

K.K.: A wcześniej nie? Nie mieli tam lektur, które cię interesowały?

A.K.: Wiesz, to była biblioteka ogólna, nie dla dzieci. I nie zapominaj, że miałam bogatą bibliotekę w domu! Natomiast w szkole średniej zaczęło mi oczywiście brakować niektórych lektur. W domu miałam na przykład Homera plus opracowania Homera, a nie miałam *Powrotu posła*, wtedy ratowała mnie biblioteka na Grochowskiej. Była jeszcze Czytelnia Naukowa Nr V na Krypskiej w starym budynku na pierwszym piętrze, drewniane skrzypiące schody...



Il. 2-3. Budynek V Czytelni Naukowej przy ul. Krypskiej 31 w 1957 r. Ten sam budynek w styczniu 2021 r.¹
Fot. 2. Stanisław Turski. Źródło: *Mazowiecka Biblioteka Cyfrowa* [online]. Dostęp 27.01.2021 Dostępny w:
<http://mbc.cyfrowemazowsze.pl/dlibra/docmetadata?id=68214&from=pubindex&dirids=138&lp=2802>.

Fot. 3. Małgorzata Peters. Źródło: zbiory własne.

K.K.: Dobrze, że wspomniałaś o tych schodach, bo planowałam zadać pytanie, jak wyglądały ówczesne biblioteki...

¹ Jak widać, stolica dba o swoje przedwojenne kamienice: solidnie zabezpieczone okna, staranna obudowa z płyty wiórowej. Aż trudno uwierzyć, że V Czytelnia Naukowa miała tu swoją siedzibę aż do 2007 r.! [przyp. red.].

A.K: Cóż... w pewnym momencie zaczęłam się zastanawiać dlaczego tam wszystko stoi pod ścianami. Środek to były tylko stoliki i sprawiał wrażenie pustego miejsca... Doszłam do wniosku, że może obawiano się, że stropy mogłyby nie wytrzymać ciężaru książek. To był bardzo stary dom, z pewnością jeszcze sprzed pierwszej wojny. I powiedziałabym, że panowała tam przemiła, prawie domowa atmosfera...



Il. 4. V Czytelnia Naukowa przy ul. Krypskiej 31 w 1957 r.

Fot. Stanisław Turski. Źródło: *Mazowiecka Biblioteka Cyfrowa* [online]. Dostęp 27.01.2021 Dostępny w: <http://mbc.cyfrowemazowsze.pl/dlibra/docmetadata?id=68218&from=pubindex&dirids=138&lp=2804>.



Il. 5 i 6. V Czytelnia Naukowa na przy ul. Krypskiej 31 w 1957 r.

Fot. Stanisław Turski. Źródło: *Mazowiecka Biblioteka Cyfrowa* [online]. Dostęp 27.01.2021 Dostępny w: <http://mbc.cyfrowemazowsze.pl/dlibra/pubindex?startstr=V&dirids=138> ; <http://mbc.cyfrowemazowsze.pl/dlibra/docmetadata?id=68213&from=pubindex&dirids=138&lp=2806>.

Tam zawsze ktoś był i czytał. Ludzie przychodzili nie tylko po południu, ale i przed południem (chodziłam tam w czasie studiów, więc wiem). Była i prasa, z której ja akurat nie korzystałam, był świetny księgozbiór powiązany z moimi studiami, czyli etnografia, historia, mieli też wszystkie nowości. I pamiętam, że tam panie bibliotekarki właśnie tak wyglądały: szczupłe, starsze, okulary i te fartuszki..., ale jak one się cieszyły, gdy ktoś przychodził i pytał je o coś! Ożywiały się, gdy mogły pomóc, podpowiedzieć, doskonale wiedziały, co na tych regałach się znajduje, co kryją w sobie ich książki. Ja akurat

czytałam humanistykę, ale podchodzili do nich czytelnicy z różnymi pytaniami, z różnych dziedzin. Te panie były tak miłe i tak uczynne, tak chętne do pomocy, do rozmowy na temat książek...

K.K.: (Uśmiech) Jakby tylko czekały na to, aż ktoś do nich podejdzie...

A.K.: Tak, żebyś wiedziała, podejdzcie i spyta, a nie potraktuje tylko jak maszyny do podawania. To właśnie tam można było przekonać się, że bibliotekarz to nie jest tylko manekin mechanicznie odkurzający półki i podający książki. One kochały książki! To było widać po sposobie, w jaki je odbierały od czytelnika i w jaki je podawały, jak ich dotykały... O tej czytelni mogłabym powiedzieć, że to było takie miłe spotkanie w świecie książek... ich i nas, czytelników.

K.K.: Absolutnie profesjonalne, kompetentne...

A.K.: Tak. Z naciskiem. Zresztą mnie i moim koleżankom stosunek do biblioteki i bibliotekarzy „wyprostowała” już wcześniej nasza bibliotekarka ze szkoły średniej, w którejś z pierwszych klas. Miałyśmy wówczas 14-15 lat i zorganizowano nam pierwszą lekcję biblioteczną. Przyszła pani, jak to w tamtych czasach, ani specjalnie elegancko ubrana, ani nie ociekająca dobrobytem, ale za to młoda, może dwudziestokilkuletnia. Wcześniej powiedziano nam, że pani z biblioteki będzie miała z nami zajęcia... O czym może mieć z nami zajęcia pani z biblioteki?! Przecież to my jesteśmy te mądre, uczące się, prawda?! A pani z biblioteki zapytała, czy wiemy, co możemy znaleźć w bibliotece? Odpowiedź brzmiała: książki. A poza książkami? Któraś odpowiedziała: gazety! Inna poprawiła: czasopiśma! A jakie? – spytała bibliotekarka. I... okazało się, że żadna z nas nie wie (śmiech), bo w ogóle do nich nie zaglądałyśmy. No a może znacie jakieś czasopisma poświęcone nauce, sztuce, kulturze? – ciągnęła nas dalej za język. I znów, my mądrale nie wiemy, a ona wie! Mało tego, ona ma je u siebie w bibliotece! Tygodniki, miesięczniki, kwartalniki i tak dalej. I to nie jest jakieś tam *Kino* z fotosami, tylko *Teatr*, *Dialog* i temu podobne.

K.K.: Zrobiła na was wrażenie, co?

A.K.: Tak. A byłyśmy przekonane, że właśnie przyszła pani w fartuszkach, aby nam powiedzieć, że mamy nie zaginać rogów książek. A ona nas sprowadziła na ziemię i była przy tym bardzo miła. Nie zrobiła nam żadnej nieuprzejmej uwagi, tylko po prostu pokazała, jak mało wiemy i jak możemy to nadrobić. Po tej lekcji bibliotecznnej zaczęłyśmy – bo to była żeńska szkoła – myśleć o naszej bibliotekarce z szacunkiem. Ja natomiast chętnie korzystałam z jej porad. Traktowałam to jak fachowe doradztwo i wiedziałam, że koleżanki też.

K.K.: Czyli dopiero w szkole średniej „Panienki z Saskiej Kępy” przekonali się, że w bibliotece nie pracują przypadkowe osoby „z ulicy”, tylko specjaliści?

A.K.: Tak, bo w szkole podstawowej dziecko patrzy na nauczyciela czy bibliotekarza bezrefleksyjnie. Ma inne oczekiwania: liczy, że będzie to raczej dobra, ciepła i miła ciocia, która pomoże, zaopiekuje się... nie ocenia pracowników od strony fachowej. Natomiast w szkole średniej zaczęłyśmy już wartościować, kto mądry, kto nie.

K.K.: Wiesz, że Casanova był bibliotekarzem? No, może z racji reputacji to nie najlepszy przykład..., ale Goethe, bracia Grimm, a u nas Lelewel, Żeromski, Przyboś, przez jakiś czas Mickiewicz – same

tuzy! No dobrze, nie wypominam. Podsumujmy: w wieku 15 lat masz już za sobą kontakt z dwiema bibliotekami szkolnymi, dwiema publicznymi, umiesz szperać w katalogach kartkowych i wiesz, jak wygląda ściganie dłużników (śmiech), masz świadomość fachowości bibliotekarzy. A teraz zapytam, czy biblioteki publiczne w tamtych latach miały w ofercie coś innego poza księgozbiorem? Czy prowadziły zajęcia dla dzieci, czy oferowały dodatkowe usługi animacyjne typu spotkanie z pisarzem, podróżnikiem, wystawa, nauka dziergania na drutach, origami, lato w mieście... Dzisiaj na przykład biblioteki wkraczają, i to bardzo głęboko(!), na teren usług, który kiedyś był domeną domów kultury. Niekiedy zaczyna on dominować (na przykład w małych bibliotekach w terenie) nad podstawowym zadaniem udostępniania księgozbiorów. Władze gminne na to naciskają. Tnie się nawet etaty bibliotekarskie na rzecz etatów dla tzw. kaowców. Wiele się mówi o promowaniu w ten sposób książek i bibliotek, ale gołym okiem widać, że to nie działa. Mieszkańcy przychodzą do bibliotek po darmową zabawę, a czytelnictwo od lat spada na łeb na szyję. Jak było wtedy?

A.K.: Niczego takiego z dzieciństwa nie pamiętam, a wzięwszy pod uwagę, że były jeszcze podejmowane akcje alfabetyzacji dorosłych po wojnie, to sprawa zachęcania do korzystania z bibliotek i dbania o czytelnika była bardzo ważna. Należało podnosić poziom ogólny.

K.K.: Czyli biblioteka była po prostu biblioteką, a pani bibliotekarka – bibliotekarką. Chciałabym jeszcze wrócić na chwilę do samej książki. Wspominałaś, że te pierwsze powojenne wydania nie były atrakcyjne.

A.K.: Były atrakcyjne przez to, że były. Papier faktycznie był chyba gorszy niż gazetowy i taki gruby, szorstki, w dotyku trochę jak pakowy.

K.K.: Tak, tak, ale ja chciałam spytać o tę pierwszą książkę, która zrobiła na tobie wrażenie pod względem edytorsko-wydawniczym, która cię zaskoczyła: papier, oprawa, czcionka, piękne ilustracje, zapach nowości...

A.K.: Niech pomyślę... to był *Konik Garbusek* z kolorowymi ilustracjami Szancera, miałam też *Złotą rybkę* w pięknej lakierowanej oprawie, staranny duży druk, zachwycające ilustracje podwodnych pejzaży z muszlami, roślinami... Nie mam już tej książki, ale lubiłam do niej wracać... nawet kiedy byłam, w moim przekonaniu, starszą dziewczynką i bajek już nie czytałam.

K.K.: Czy w książkach dla dzieci i młodzieży pojawiały się treści, którymi, jak by to powiedzieć, próbowano was indoktrynować? Nie mam tu na myśli takich siermiężnych propagandowych gniotów jak historie o Pawce Morozowie. Chodzi mi o subtelniejsze manipulacje...

A.K.: Stosowano przedmowy, uczące „właściwego” spojrzenia. Dodawano je do bajek dla dzieci, do klasyki, np. do nowel Sienkiewicza czy Prusa, którzy „zwracali uwagę na ciężką dolę chłopca”. A Kopnicka jak była ładnie opisana! (*A najdzielniej biją króle, a najgęściej giną chłopcy!*). Przedmowy wskazywały, co autor miał na myśli. W tekst nie ingerowano, natomiast wstęp był po to, żeby przesłanie było „odpowiednio” (śmiech) zrozumiane. Pamiętam, że na egzaminie z piątej do szóstej klasy było pytanie o książkę, która była jak wykład z ewolucji, chociaż dotyczyła historii pojedynczego człowieka. Wyglądało to mniej więcej tak: pewnego dnia człowiek wpadł do rwącej rzeki, chwycił się konara i wówczas zaświtała mu myśl, że mógłby zrobić łódkę itd. Rozwijał się. Za streszczenie tej

książki, chyba Wandy Wasilewskiej, na egzaminie dostałam piątkę, najwyraźniej dobrze pojęłam myśl autorki (śmiech).

K.K.: A czy były takie książki, które przyniosły skutek odwrotny do zamierzonego: obudziły czujność lub nawet wstręt, poczułaś, że coś jest nie tak, choćby sprawa tego Pawki Morozowa?

A.K.: Ja nie miałam w rękę żadnej książki o nim i nie, nie pamiętam takiej lektury, natomiast pamiętam artykuły w „Płomyku”, które były tak prymitywne, że to przechodzi ludzkie pojęcie. Kompletnie nie do czytania! Kiedy Stalin umarł, to ja szczęśliwie byłam w trzeciej klasie. Znalazłam wtedy w „Płomyku” opowiadanie, na pewno przedruk z rosyjskiego, o takim chłopcu, który, co tu dużo mówić, nie był wzorem zachowania: uczył się niedbale, odpisywał zadania od kolegów, spóźniał się do szkoły, chociaż wszyscy mu tłumaczyli, i rodzice, i nauczycielka, i przewodniczący pionierów, że ojciec narodu i przywódca Józef Stalin tyle zrobił dobrego dla całego kraju i dla niego, a on nie szanuje jego wysiłków i martwi go takim zachowaniem. Chłopiec nic sobie z tych uwag nie robił, aż tu pewnego dnia idzie do szkoły, a tu ludzie na ulicy płaczą, w szkole nauczycielki zapłakane. Co się stało? Umarł towarzysz Stalin! I w chłopcu serce zadrżało: *to on umarł, myśląc, że ja jestem takim nicponiem, a ja nie zdążyłem się poprawić i powiedzieć mu o tym*. Przeżywał straszne cierpienia duchowe ten chłopiec i od zaraz, natychmiast zaczął być nadzwyczajnie starannym, grzecznym uczniem, zapisał się też do pionierów. Miałam dziesięć lat i jak dojechałam do końca tego opowiadania, bo postanowiłam dobrnąć, to pomyślałam, że w życiu takiej bzdury nie czytałam. To było tak niewiarygodne, fałszywe... dzieci to wyczuwają... Niemniej mieliśmy apele, na których pan dyrektor męczył się i opowiadał, jak to przed wojną dzieci do szkoły nie chodziły. Stąd numer, który wywinęłam w domu. Rodzice wychodzili do teatru, ja miałam zostać z babcią... pamiętam babcię siedzącą pod oknem w fotelu i czytającą książkę... Nie byłam zadowolona, że wychodzą, i zaczęłam narzekać głośno: *to kto mi sprawdzi lekcje, kto mi pomoże?! Ojciec rzucił krótko: Babcia*. A ja na to załamując rączką: *Przecież babcia do szkoły nie chodziła!*

K.K.: (śmiech) Odkryłaś pierwsze kłamstwo...

A.K.: Tak. Przecież babcia czytała, pisała... Poza tym rodzice opowiadali nam o przedwojennym życiu i siłą rzeczy zaczęłam rozmyślać na ten temat. Od tej pory stawałam na apelach z miną pod tytułem „mów do mnie jeszcze...”.

K.K.: Kolejne pytanie będzie bazowało tylko na twoim wrażeniu, bo żeby móc na nie odpowiedzieć rzetelnie, należałoby sięgnąć po statystyki. Jak wyglądała popularność bibliotek? Szłyście całą grupą koleżanek do biblioteki a tam pustki czy może kłębił się tłum? Czy biblioteka była jak oaza kultury na pustyni z ruin? Czy stan książek, które wypożyczałaś wskazywał na to, że pomimo niewątpliwego „braku urody” były czytane, czy też nie nosiły śladów użytkowania, miały na przykład nieporozcinane strony...

A.K.: Biblioteki nigdy nie były puste. W bibliotece publicznej na Grochowskiej zwykle były dwie, trzy osoby, czyli niewiele, ale była to wypożyczalnia (czytelnik przychodzi, czytelnik wychodzi). Na Krypskiej zawsze byli czytelnicy, raz czworo, raz ośmioro, bo tam korzystało się na miejscu, poza tym w pobliżu na Kickiego były dwa domy studenckie... Jeśli zaś chodzi o książki, to te tytuły, które przyniósł mój brat po selekcji „wrogich” książek, były bardzo zniszczone czytaniem...

K.K.: To zamknijmy temat bibliotek szkolnych i publicznych. Spójrzmy na koniec ogólnie na biblioteki i bibliotekarzy z tamtych lat i odnieśmy się do dzisiejszych czasów. Czy coś z tamtej epoki przeniosłabyś do czasów współczesnych?

A.K.: Współczesne biblioteki mają dużo zalet: prezentacja możliwości i bezpośredni dostęp do półek... Tamte były małe, ciasne, ale z drugiej strony bardziej przytulne, człowiek czuł się w nich jak w domu. Tego mi brakuje. Potrafiłam wpaść do czytelni na 45 minut przed zamknięciem, żeby znaleźć materiały do referatu czy wypracowania i nikt się nie krzywił, nie okazywał zniecierpliwienia, panie były niezwykle życzliwe. To były właściwe osoby na właściwym miejscu. A dziś cóż, nie wszędzie ludzie są mili i uprzejmi... Wtedy w sklepach i urzędach bywało podobnie, ale biblioteki były inne, tu obowiązywały inne standardy, tu nigdy nie spotkałam się z nieuprzejmością. W społeczeństwie bezklasowym, bibliotekarki miały klasę!

K.K.: Dziś czujesz się traktowana instrumentalnie?

A.K.: Mam wrażenie, że dziś niektóre panie pracujące w bibliotece czują się z tego powodu nieszczerliwie. Może to też trochę wina czytelników, którzy nie zawsze zachowują się jak powinni. Kiedyś do bibliotek przychodził czytelnik niewyrobiony, nie wiedział, co tam zastanie. To bibliotekarka dopytywała się, co lubi, co go interesuje i doradzała. W Wypożyczalni na Grochowskiej miałam wrażenie, że panie znają wszystkie książki, tak jakby każdą miały w ręku. Chciałabym, by dziś też tak było plus oczywiście wspomniana życzliwość.

K.K.: I tego sobie życzymy, w każdym zawodzie! A teraz studia. Pamiętam, że pierwszy raz w BUW-ie byłam z tobą, szukałyśmy toalety... Pamiętam też katalogi, zrobiły na mnie wrażenie. Kiedy sama stałam się czytelnikiem biblioteki uniwersyteckiej, zauważyłam, że wszyscy studenci tam głupieli. Pomimo obowiązkowego przysposobienia bibliotecznego nie potrafili się odnaleźć w tej powodzi rewersów: czerwony potrójny na czasopiśmie, czarny dwudzielny na książki i... niektóre czasopiśma, trzeci – do magazynu głównego, czwarty – „no i źle pan wypisał, to na innym druczku, trzeba wrócić do katalogu i przepisać na odpowiedni rewers, a na tę książkę nie wypisuje się rewersu, bo jest w podręcznym, nie w tej sali, proszę pana, podręczny mamy w dwóch salach, tu jest taki znaczek przy sygnaturze, książka stoi w tej drugiej, przecież to oczywiste...”. Całe piętro katalogów, przy których czasem dyżurował bibliotekarz. (I dobrze, bo by nikt nie złożył poprawnego rewersu!). Wszyscy kochali ten stary BUW i jego drewniane skrzypiące podłogi, ale z drugiej strony, ileż tam było nerwów, ile dramatów, gdy student miał dwie godziny do zamknięcia biblioteki, a godzinę tracił przy tych nieszczęsnych rewersach. A ty poruszałaś się tam jak ryba w wodzie!

A.K.: Á propos skrzypiących podłóg (śmiech). Różne tam były podłogi. Gdy szłam po tych wytartych marmurach, to byłam taka dumna, że jestem kolejnym pokoleniem studentów, które wydeptuje te posadzki i pozostawia swój ślad...

K.K.: Twoja ukochana biblioteka...

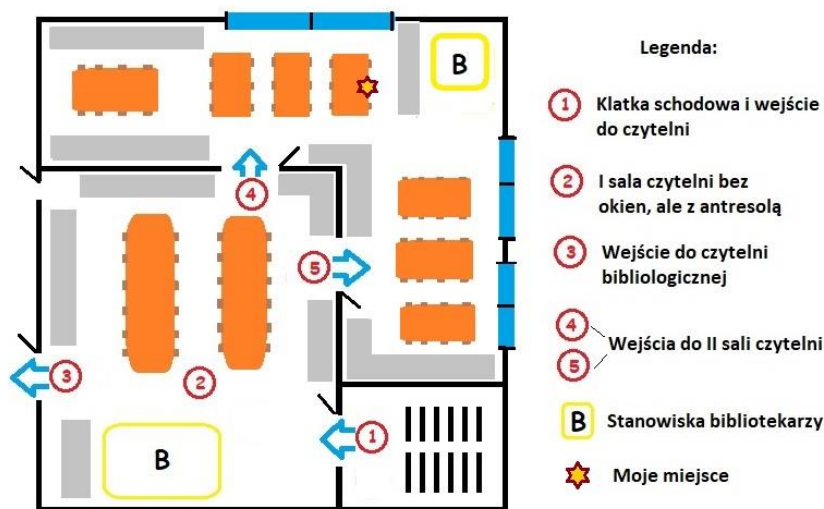
A.K.: Tak. I moje ukochane katalogi, z kartami formatu prawie A5, pięknie ręcznie kaligrafowane, z tymi wywijasami, raz cieńsza, raz grubsza kreska, te kreski zmieniały kształt... stara szkoła, na pewno jeszcze sprzed pierwszej wojny...

K.K.: Widziałam tam karty napisane ręką Estreichera, w rogu u dołu widniał jego podpis.

A.K.: Bardzo możliwe. Studiowałam gdzieś między rokiem 1961 a 1967, ale wpadałam do BUW-u jeszcze i w późniejszych latach, właściwie dopóki biblioteka mieściła się na Krakowskim Przedmieściu, czyli do końca lat 90. Czytelnia, jak wiesz, była na pierwszym piętrze, a zamiast sklepienia nad nią sufitu... otwarta przestrzeń i widoczne katalogi na drugim piętrze – taka antresola tylko bardzo wysoko. Odgłosy z katalogów dochodziły więc do czytelników siedzących na dole. Przechylając się przez balustradę na antresoli, widziało się pochylone nad książkami głowy (można było przy okazji sprawdzić frekwencję). Nie ustawiono tam pojedynczych stolików, tylko dwa długie rzędy stołów i było to pomieszczenie przechodnie, z którego prowadziło dwoje drzwi do sali w kształcie litery L, w której były... okna! Każde pomieszczenie okalała cała masa księgozbioru podręcznego. Naprzeciwko wejścia stanowisko bibliotekarzy, w kolejnym pomieszczeniu następne. Najpierw czytelnik wchodził klatką schodową na drugie piętro, czyli na antresolę, aby wyszukać pozycję w katalogach kartkowych (było kilka rodzajów katalogów) i wypełnić rewersy. Potem schodziło się piętro niżej do czytelni. Wejście oznajmiały potwornie skrzypiące drzwi, potem skrzypiąca podłoga. To skrzypiała historia! Na ten dźwięk wszystkie głowy unosiły się znad książek, a oczy ciskały gromy. W czytelni na ogół ludzie mieli swoje ulubione miejsca...

K.K.: Tak, pamiętam to: rezerwacja przez zasiedzenie. Każdy miał swoją „wysiedzianą” miejscówkę, najczęściej prawa do niej rościło sobie kilka osób... Miałaś swoje ulubione miejsce?

A.K.: Miałam. W sali z drzwiami balkonowymi... Za sobą miałam regały, a za nimi siedział dyżurujący bibliotekarz.



Il. 7. Plan czytelni BUW zwanej czytelnią czasopism. Większość siedziała tam nad książkami.
Źródło: oprac. własne.

K.K.: To dobre miejsce, najgorsze hałasy cię omijały.

A.K.: Tak, ale zimą odbywało się wietrzenie. Co jakiś czas bibliotekarze uchylali drzwi balkonowe i wietrzyli, i wtedy, kto był mało wytrzymały, wychodził (śmiech).

K.K.: Ja bym pewnie dała radę, bo jestem zimnolubna. Dbali o wasze mózgi! Temperatura powyżej 22 stopni i brak tlenu to nie są warunki do pracy umysłowej. Współcześnie biblioteki często nie mają otwieranych okien, tylko klimatyzację. Pompuje się roztocza i bakterie przez wszystkie piętra. Może pandemia nas czegoś nauczy... A jak wspominasz bibliotekarzy z BUW-u?

A.K.: Na ogół bardzo mili, jednak od kiedy wprowadzono taki system, trochę z łapanki – jak ktoś zdawał egzamin na studia (na przykład na polonistykę) z troszkę gorszymi wynikami, to musiał odsłużyć pół roku(?) w bibliotece. Nie pamiętam dokładnie, ale coś takiego było... Nazywało się to chyba *system naprzemienny*... Widocznie brakowało pracowników. W każdym razie tym sobie tłumaczyłam niektóre zachowania i to podejście „stąd dotąd”. I w zasadzie dochodziło do takich sytuacji, że czułam się w bibliotece swobodniej i pewniej niż osoba, która mnie obsługiwała. BUW rozgryzłam samodzielnie jeszcze przed obowiązkowym szkoleniem, które odbyło się dopiero na przełomie października i listopada pierwszego roku studiów i trwało pół dnia! Miałam już wtedy sprawdzone wszystkie kąty i wszędzie byłam (śmiech).

K.K.: Pamiętam, że jeździłaś też do naszej biblioteki wojewódzkiej. Na Koszykowej też miałaś swoje miejsce?

A.K.: Nie przepadałam za Koszykową, może dlatego, że wpadałam tam głównie w weekendy. Biblioteka Uniwersytecka wydawała mi się zawsze bardziej przytulna i... taka dostojna. Na Koszykowej w weekendy pracowała Czytelnia Główna. Była jak wielka hala w fabryce. I te lampy... jak w szwalni... Podobnie się czułam w Bibliotece Narodowej, też była taka bezosobowa. Wiedziałam, że większość rzeczy tam mogę znaleźć, ale specjalnych uczuć do niej nie żywiłam. Natomiast lubiłam jeszcze bibliotekę pedagogiczną.

K.K.: Tę na Bednarskiej? O, to mamy podobnych faworytów, ja też ją lubiłam! A z którego roku te wspomnienia?

A.K.: Pracowałam już wtedy w PWN, czyli pamiętam ją z okresu stanu wojennego i jeszcze później z lat 90. Potem ją przenieśli na Smyczkową i to już było na końcu świata. A lubiłam ją dlatego, że ci bibliotekarze byli niesamowici, świetnie przygotowani! Potrafili niemal od ręki rzucić całym zestawem lektur. Czytelnicy często zdenerwowani, pędzący na uczelnię, na pociąg, bo byli też tacy, którzy przyjeżdżali spoza Warszawy i musieli jeszcze wrócić, a bibliotekarze ad hoc podpowiadali niemal całą bibliografię. Bardzo merytoryczni i niemal niańczący swoich czytelników. I wszystko tam można było dostać!

K.K.: To fakt, kiedy studiowałam filologię polską (czyli druga połowa lat 90.), mieli praktycznie wszystkie lektury, których potrzebowałam.

A.K.: A publiczna na Świętojańskiej!

K.K.: O taak. Tam też.

A.K.: Przecież kierowniczka na Świętojańskiej (a był to kierownik z wieloletnim stażem) stawała na głowie, żeby student polonistyki miał możliwie wszystko. Niektóre tytuły były dostępne tylko tam.

Ich księgozbiór był też niezwykle wysmakowany. Do tej biblioteki trafiłam zresztą z polecenia moich koleżanek z PWN-u z redakcji filologicznej, a one się na tym znały. Ty pewnie częściej bywałaś na Bednarskiej.

K.K.: Z racji pracy, którą podjęłam. Zaczynałam jako bibliotekarz szkolny, młody, nieopierzony i wystraszony. Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka im. KEN (nomen omen!) opiekowała się bibliotekarzami szkolnymi jak matka i ojciec: spotkania, szkolenia, kontakty z Towarzystwem Nauczycieli Bibliotekarzy Szkół Polskich, dział metodyczny do dyspozycji, drukowane dla nas broszury i poradniki – dawali ogromne wsparcie! Czułam się jakby obejmowali mnie swymi ramionami i mówili, jeśli tylko masz problem, przyjdź do nas, pytaj, dzwoń, pomożemy ci. Wiele się dzięki nim nauczyłam. Placówka nie do przecenienia.

A.K.: I to mi się właśnie u nich podobało: posłannictwo, a nie praca zawodowa od 8 do 16. To chyba najlepsze, co może spotkać czytelnika...

K.K.: Zważywszy na nasze uposażenie, to dziś też jest posłannictwo, powiedziałabym nawet – filantropia.

A.K.: Tak nie powinno być.

K.K.: Owszem, ale jest. Tymczasem musimy zmierzać do końca. Ostatnie pytania będą dotyczyły biblioteki w PWN-ie. Pamiętam, że taka była. Które to lata?

A.K.: 1979-2005. I małe sprostowanie: w PWN-ie były dwie biblioteki, jedna zakładowa pod opieką związków zawodowych, w której była beletrystyka dla pracowników. Nie trzeba było biegać po bibliotekach publicznych, można było *Dumę i uprzedzenie* wypożyczyć w pracy.

K.K.: Żeby się odstresować (śmiech)... sprawa daty śmierci Piłsudskiego itd... Fakt, redaktorzy PWN-u wykonywali pracę niemal naukową, na pewno twórczą, z tą różnicą, że wynik weryfikowała cała Polska, kiedy dostała do ręki encyklopedię lub słownik... Jaka literatura dominowała w tej bibliotece, jakaś ambitna?

A.K.: Różną tam mieliśmy literaturę: kryminały, sensację, powieści historyczne, ambitniejsze pozycje też. Pamiętaj, że pracownicy mieli rodziny, dzieci i dla nich również wypożyczali książki. Po prywatyzacji PWN-u w latach 90. ściągnięto od nas wszystkie wypożyczone książki, bibliotekę spakowano i wysłano, już nie pamiętam, Litwa?, Białoruś?, i doposażono tam jakąś polską bibliotekę. Nowe władze uznały, że nie będą utrzymywały biblioteki, bo pomieszczenia szkoda, a bibliotekarza trzeba opłacać itd. Liczymy pieniądze... Druga biblioteka to była biblioteka naukowa, która wspierała naszą pracę. Mieściła się w podziemiach siedziby wydawnictwa przy Miodowej 10. W najlepszych latach PWN-u pracowały w niej cztery osoby.

K.K.: Pamiętam waszą panią bibliotekarkę – ostra jak brzytwa, ale głowę miała nie od parady... O bibliotekach zakładowych mało się mówi i pisze, ale w takim miejscu jak wydawnictwo, zajmujące się produkcją encyklopedii, biblioteka to był mózg całej instytucji. Bibliotekarze pewnie uwiłali się jak w ukropie?

A.K.: Po pierwsze prasa. Przychodziło jej mnóstwo, zagraniczna też. Była opracowywana na bieżąco i kompletna. Jeśli coś działo się na świecie, zmieniały się rządy, system edukacyjny, granice, ktoś umierał, musieliśmy o tym wiedzieć. Katalogów, kartotek, teczek – wiele.

K.K.: To znaczy, że bibliotekarki robiły dla was prasówkę?

A.K.: Po pierwsze to najpierw musiały to wszystko zewidencjonować, potem rozdzielić między działy, bo część prasy szła do poszczególnych redakcji. Tytuły do prenumeraty były ustalane pod koniec roku, zatwierdzone przez dyrekcję, a ich zakup opłacany przez PWN. Z roku na rok liczba tytułów się zmniejszała, potem prasę dostawała głównie dyrekcja i Dział Dokumentacji, który właśnie z wycinków prasowych, o które pytałaś, budował nam niezwykle rzetelne zaplecze dokumentacyjne na każdy temat. Niemniej sama prasa zabierała mnóstwo czasu, a liczba etatów malała. Z ostatnich lat pamiętam już tylko dwóch pracowników biblioteki. Jedną z pań pracowała w części książkowej, a były tam nie tylko książki, ale też wszystkie informatory polskie i zagraniczne: who is who, roczniki statystyczne, informatory o nauce polskiej, notki prasowe PAP, które trzeba było rozparcelować do segregatorów, bo przychodziły w paczkach, w których było wszystko, np. dwa biogramy polskie na literę A, dwa na literę P, z Afryki, z Azji itd.

K.K.: Segregatory podzielone na kraje?

A.K.: Alfabetycznie, tak łatwiej było znaleźć nazwisko.

K.K.: Ach, to były biogramy!

A.K.: Tak. Segregatory krajów były oddzielnie, podzielone na kontynenty. Trzymało się w nich najświeższe wiadomości. To znaczy jak się miało szczęście, to sprzed miesiąca: kto wygrał wybory, kto rządzi, jaka prasa. Dotyczyło to wszystkich krajów na świecie (wówczas około 180). Ja zajmowałam się Afryką, więc miałam do śledzenia politykę około 50 krajów.

K.K.: O rany! Aż mnie głowa rozboleła...

A.K.: Wiesz, były maleńkie kraje, efemerydy jak te na Karaibach, które miały jedną karteczkę z PAP, bo niewiele tam się zmieniało, niewiele było wiadomo, ale powiedzmy już takie jak Angola czy Kongo, w których wciąż się kotłowało, miały bogatszą kartotekę.

K.K.: Czy zdarzało się, że trzeba było szukać informacji poza PWN-em czy biblioteka i Dział Dokumentacji całkowicie zaspokajały potrzeby informacyjne pracowników?

A.K.: W bibliotece PWN były takie wydawnictwa, na przykład zagraniczne, których nigdzie w Warszawie nie znalazłam. Zdarzało się, że gdy pracowałam w weekend, to wówczas byłam skazana na biblioteki z zewnątrz i niestety zwykle okazywało się, że nie mają tego, z czego korzystałam w pracy. Rozumiem to, bo niektóre publikacje były bardzo drogie. Jeden tom anglojęzycznego informatora o Afryce to było ponad dwa i pół tysiąca złotych. Myśmy na przykład mieli wszystkie najważniejsze encyklopedie z różnych krajów (i różnych czasów) w komplecie: brytyjskie, rosyjskie, francuskie i wiele innych. Encyklopedie niemieckie zajmowały cały regał! Oczywiście były też wszystkie encyklopedie polskie. To dzięki bibliotece PWN odkryłam, że słynna *Encyklopedia powszechna* Orgelbranda

miała kilka wersji, odkryłam również encyklopedię, w jakiejś nieprawdopodobnej liczbie tomów, Saturnina Sikorskiego. Mieliśmy też włoskie encyklopedie, śmieszne takie, w których najgłupsza bitwa na trzy dzidy i jeden karabin szybkostrzelny w Etiopii zajmowała dwie i pół kolumny tekstu.

K.K.: Duża była ta biblioteka? W jakim układzie to wszystko stało?

A.K.: Nie powiem ci, bo ja szłam prosto do swoich regałów i nigdy się tym nie interesowałam, wydaje mi się, że układ był wg działów. Regały stały tak, że tworzyły jakby oddzielne pokoiki. Co do wielkości, czytelnia mogła mieć około 40 m², natomiast jak duże były magazyny tego nie wiem, bo nigdy w nich nie byłam.

K.K.: Uważam, że i tak bardzo dużo wiesz o bibliotekach. A pamiętasz chyba wszystko i to w jakich szczegółach! Dziękuję, że poświęciłaś mi... wiesz ile?! Półtorej godziny!!!

A.K.: Niestety (śmiech).